Rok I. Lwów, wtorek 22. stycznia 1907. Nr. 6.

1 cent

GONIEC POLSKI

2 hal.

Wychodzi codziennie o godz. 2 popoł.

REDAKTOR: STANISŁAW BRANDOWSKI.

PRENUMERATA:

WE LWOWIE: miesięcznie . . . . 50 hal. numer pojedynczy 2 „

NA PROWINCYI: mies. z przes. poczt. . 1 K numer pojedynczy . . 4 h

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za jednoszpaltowy wiersz nonparallem. ◆ Redakcya i Administr.: Lwów, Krzywa 6. — Nr. tel. 977. ◆ Drobne ogłoszenia po 4 h od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenia 40 h.

W styczniową rocznicę.

Dzień 22. stycznia, to — droga karta w dziejach Polski.

Żaden naród nie posiada tak wielkiej przeszłości za sobą, jaką ma naród polski, historyczna przeszłość nasza obfitą jest w chwile, które tchną bohaterstwem i heroicznem poświęceniem za wolność i niepodległość Ojczyzny.

Do takich chwil należy i styczniowe powstanie.

Walka styczniowa z możnym i z wszechwładnym caratem, to — walka wielkiej idei, idei — odziedziczonej w spuściźnie przez naród po czteroletnim sejmie i powstaniu Kościuszkowskiem. I bohaterowie rozlewają krew i giną na szubienicach moskiewskich za wolność ludu wiejskiego, gdyż hasłem bojowem, wypisanem na powstańczem sztandarze są słowa:

Usamowolnienie ludu wiejskiego, a przez lud wiejski — do wolności i niepodległości uciśnionej Ojczyzny.

Brutalna siła moskiewskich siepaczy i katów, mordem, pożogą i zniszczeniem stłumiła wprawdzie zbrojne powstanie. Bohaterowie w walce ulegli. Usnęli snem wiecznym w grobach i zimnych mogiłach, jednakowoż pieśń gorącej miłości Ojczyzny nigdy nie ucichnie na ustach polskiego ludu wiejskiego, bo w pieśni tej brzmi potężnie nuta wolności ludu w siermiędze i głosi im drogą pamiątkę:

Zniesienie pańszczyzny.

Tak; walczył Langiewicz, przelewali krew Borelowski, Frankowski, Jankowski, i wielu innych złożyło życie w ofierze, za wolność chłopską, na której budujemy przyszłą i nie podległą Polskę.

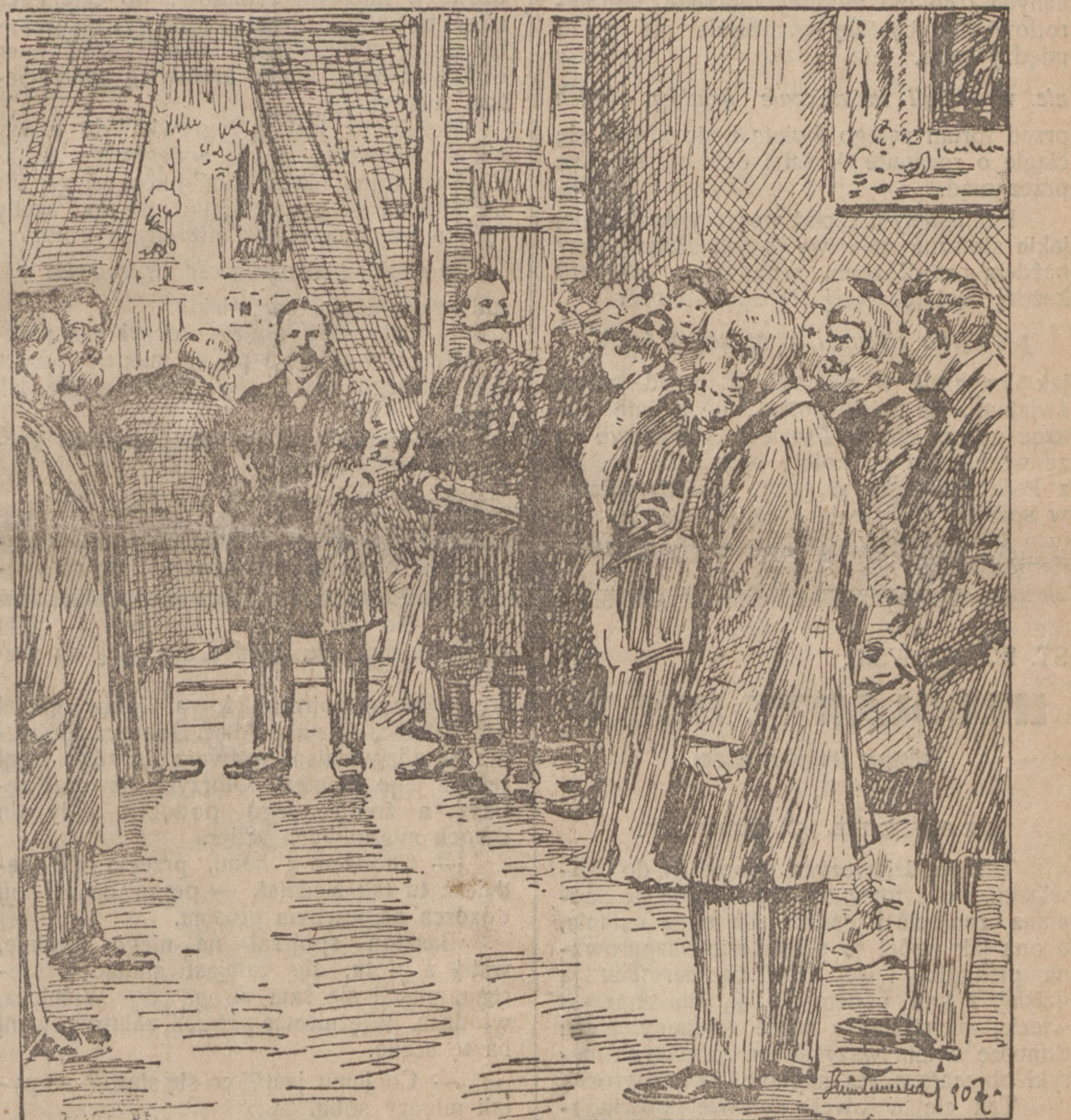
Rząd narodowy w roku 1863 przeprowadził zniesienie pańszczyzny, rząd moskiewski zniesienie jej musiał zatwierdzić, ale wzniosłą i szlachetną tą myśl polską carscy siepacze zohydzili zbrodnią, nadając bowiem wolność także rosyjskim chłopom, podszczuli ich do rzezi polskich powstańców.

I zbrodni tej nie zmażą wieki; i czy to w pamiątkach narodowych, czy to w pieśni pastuszka na szerokich polach złotem zbożem wyzłoconych, zawsze tęskna nuta brzmieć będzie, w której głuche okrzyki pomsty popłyną hen w górę, i zamilkną gdzieś za światami.

I kiedyś, czy prędzej czy później, z tęsknej tej nuty zagrzmi potężna i tryumfalna pieśń:

Polska jeszcze nie zginęła — zmartwychpowstała. *Em. Ciesielski.*

W poczekalni prezydenta Michalskiego.



U nas i na świecie.

Ludowcy rozpoczęli radzić nad przygotowaniami do nowych wyborów.

Onegdaj odbył posiedzenie Wydział rady naczelnej stronnictwa ludowego pod przewodnictwem dr. Bernadzikowskiego, a wczoraj pełna rada nadzorcza przy udziale

180 mężów zaufania

z 47 powiatów powołanych, uchwalić miała program przedwyborczy i sposób przygotowania się do wyborów powszechnych.

Jestto więc pierwsza prawdziwa jaskółka zapowiadająca przyjście nowej wiosny, bo dotychczas wrzeszczały tylko kruki i gawrony, by uprzyjemnić skon staremu parlamentowi przywilejów.

A ten skazany na śmierć pracuje tymczasem z prawdziwie podziwienia godną wytrwałości, jakby

chciał zmazać winy i grzechy przeszłości

[illegible]daj ostatnią swoją kartę dziejów zapi-

sać się we wdzięcznej pamięci ludów austryackich.

Izba musi być zamkniętą dnia 29. stycznia, a więc zaledwie jeszcze jeden tydzień życia; ale jaki to tydzień!

Dziś mają być załatwione ustawy urzędnicze tudzież kongrua, we wtorek i we środę kontyngent rekrutów i inne ustawy wojskowe; we czwartek i piątek wszystkie ustawy komunikacyjne, tudzież ustawa o kolejach lokalnych, a w sobotę reszta przedłożeń drobniejszych.

A jaka zgoda i jedność przekonań

wiąże dłonie i łączy ze sobą wszystkie stronnictwa. Dusza się raduje, gdy się czyta sprawozdania z posiedzeń izby, widzi tyle życia, energii i dobrej chęci.

Lecz gdy pomyśli, że to tylko

jeden tydzień wszystkiego,

mimowoli nasuwa się pytanie, za co ci ludzie tam, przez długich sześć lat brali sowite dyjety z podatków przez naród opłacanych i co oni mogliby byli dać temu narodowi, gdyby się wzajemnie nie gryźli między sobą,

nie wywlekali ustawicznie brudów swoich

przed forum całego świata i nie kłócili się ciągle o rozmaite kości i ochłapy rzucane przez rząd.

Pamiętamy przecież wszyscy doskonale, jakie straszne żale wywodzili Rusini przy każdem przedłożeniu rządowem, jak przy każdej nastręczającej się sposobności

plwali na stosunki, panujące w kraju

jak krzyczeli w niebogłosy przed całym światem, na ucisk polski, na hakatę stokroć gorszą niż w Prusiech, jak łączyli się ze wszystkimi po kolei, byle tylko nie iść z Polakami ręka w rękę, choćby nawet w sprawie najżywotniejszej dla całego kraju i korzystnej w równej mierze dla obu narodowości.

Przypomnimy tu tylko tyle głośną

walkę o włości rentowe

przeciw której zmobilizowano sztucznie większą część ludu, wywodząc najcięższe zarzuty przeciw samej ustawie, Sejmowi, który ją uchwalił, i twórcom jej, którzy tylko dobro i przyszłość kraju mieli na oku.

Byle jątrzyć, byle w mętnej wodzie ryby łowić. Tak i dzisiaj znowu jakby na ukoronowanie krzyków o krzywdzie ruskiej wskutek nowej ustawy wyborczej, wynaleźli znów

inną sprawę polską.

Oto „Diło“ wywodzi w długim artykule przyczynę wzrostu długów austryackich, i poucza swoich czytelników, że długi te wzrosły wskutek manii polskiej

za zbudowaniem Polski,

że Polacy parli Austryę do wojny z Rosyą i Prusami, i że dwukrotna mobilizacya przyczyniła się do tak strasznego wzrostu długów. Obie zaś wojny miały być prowadzone w interesie Polaków, bo celem ich miało być odbudowanie Polski;(?) zaś wskutek tego, kończy *Diło*, ruski naród musi oddawać dalej swoją krwawicę wierzycielom Austryi.

Jeżeli to jest przygrywką do nowej akcyi wyborczej, a nie wylęgła się w jakiejś wiatrami ukraińskimi huczącej głowie narodowca — to zasługuje na to, ażeby tę nutę zapamiętać, bo już chyba trudno

o większą nieuczciwość i nienawiść

ku wszystkiemu, co polskie.

A jużto Bóg dobry otoczył nas przyjaciółmi i w domu i po za miedzą; języka zaś naszego rewolucyjnego boją się jak ognia.

Głównodowodzący poznańskiego korpusu armii niemieckiej,

zakazał uczęszczać do polskiego teatru

w Poznaniu wszystkim wojskowym, naturalnie w obawie, by dźwięki słowa pol-skiego nie ustudziły w ich sercu uczucia miłości i przywiązania do wielkiej niemieckiej ojczyzny.

Groźba klęski głodowej w Rosyi, o której wspominaliśmy w jednym z poprzednich numerów *Gońca*, przybiera

bardzo zatrważające kształty.

Zgodne wieści, jakie nadchodzą z ogromnych obszarów Wszechrosyi, stwierdzają, że głód szerzy się tam nie na żarty, że miliony wyciągają ręce o chleb, że choroby nagminne dziesiątkują ludność i klęska ta, w połączeniu z anarchią, niepewnością jutra i mienia

podnieca umysły w niesłychany sposób

i grozi straszną katastrofą, której rozmiarów na razie nawet przewidzieć nie można.

Rząd krząta się energicznie około zaciągnięcia znaczniejszej pożyczki za granicą, na złagodzenie rozmiarów klęski głodowej. Rokowania jednak idą oporem i nie będą chyba prędzej uwieńczone pomyślnym skutkiem dopóki

do steru nie dostanie się rząd,

który potrafi potargane węzły stosunków wewnątrz państwa nawiązać i życie społeczne za każdą cenę na tory ładu i porządku sprowadzić.

Inaczej nowa katastrofa wstrząśnie posadami Rosyi, co naturalnie i nam niezgorzej da się odczuć.

W poczekalni prezydenta Michalskiego.

(Do ryciny na 1 stronie).

Popularność p. Michalskiego, prezydenta m. Lwowa, jest nadzwyczajną. Ona to, w połączeniu z niezmordowaną pracą, wyniosła go właściwie na dzisiejsze stanowisko. Ale bo też p. Michalski umie się zrobić popularnym. Zarozumiałość, pycha, wy-

---

ST. POŻAROWSKI. 6

HANDLARZE DUSZ

Galicyjska powieść kryminalna.

I.

HANDEL O KREW.

Tak się dziewczyna uparła iść do obowiązku, bo z forszusu, mówiła, da się Baumana zapłacić i jeszcze dla mnie ostanie, a ona jak wróci to przywiezie uszparowane pieniądze i lżej nam będzie. Tak ją dzisiaj, z tym panem co ją do Ameryki wiezie, puściłam, a tobie kochany mężu donoszę o tem wszystkiem. Antosia z Ameryki obiecała adres napisać i za rok wrócić.

Tak cię o owej sprawie powiadomiwszy, resztę Panu Bogu polecam i zdrowia i dobrego przetrwania naszego nieszczęścia życzę. Twoja żona Justyna.

Basztoń przeczytał list i począł trząść głową, jakby go nagły zmrok ogarniał w oczach. Potem niedowierzając sobie, czytał list po raz drugi, uważnie zdanie za zdaniem, a gdy się wreszcie zmiarkował, co w domu zaszło i w czyje ręce wpadła jego córka, nabrzmiała w nim taka niepohamowana wściekłość, że począł się rozglądać, na kogo się najbliższego rzucić i w kawały potargać.

Łotr uciął mu palec, aby zdobyć sobie wolność, jego okaleczył, córkę wywiódł mu do domu rozpusty i oddał w ręce najniegodziwszych handlarzy a on tu, więzień, niewolnik, nie może jej pospieszyć na ratunek, aby ją wyrwać z rąk tych opryszków.

— Powrót, marsz! zakomenderował dozorca i więźniowie poczęli się ustawiać parami. Tylko Basztoń siedział nieporuszony na płocie i wodził błędnym wzrokiem przed sobą.

— No wielkoludku, idziemy! — rzekł łagodnie strażnik, kładąc mu rękę na plecach.

Olbrzym potrząsł głową, jakby chciał powiedzieć, że nie pójdzie. Dozorca spojrzał mu ze zdziwieniem w twarz i szybko zdjął rękę z jego pleców. Olbrzym dzwonił zębami, a źrenice jego podobne były do dwóch migotliwych iskier.

— Chodźcie z nami, przecie nie będziesz tu tak siedział, — perswadował mu dozorca niepewnym głosem.

Basztoń spojrzał na niego błędnie, wstał z płotu, ale zamiast stanąć w szeregu, puścił się sam drogą do Wiśnicza, wiodącą. Więźniowie patrzeli zaintrygowani na tę scenę.

— Co jemu jest? co się stało? — pytali między sobą.

— Coś mu na mózg uderzyło — wytłumaczył jeden stary aresztant.

A olbrzym tymczasem szedł szybko, zataczając się niekiedy po drodze, jak pijany. Jeden strażnik szedł o parę kroków za nim, drugi prowadził oddział więźni może z dwunastu osób złożony.

— Widocznie dostał pomieszania zmysłów! — zawołał do swego kolegi ten dozorca, który szedł za Basztoniem.

Niebawem to przekonanie u wszystkich się utrwaliło.

Tymczasem doszli do mostu, poza którym od głównej drogi około budynku sądowego, oddziela się mała dróżka i biegnie do traktu bocheńskiego.

Olbrzym skręcił na tę dróżkę.

— Hej, Basztoń! nie tędy! — zawołał strażnik podbiegając ku niemu i czepiając go za szare, drelichowe spodnie.

Ale Basztoń nie słyszał, ani się za nim nie oglądał. Szarpiący go za rękaw strażnik robił mu tę samą dystrakcyę, jaką mu robiła mrówka, uwieszona u jego ubrania. Szedł jak automat, coraz prędzej, machając rękami i sapiąc ciężko.

Drugi strażnik opuścił oddział i pobiegł swemu koledze na pomoc. Za nim puścili się jednak wszyscy aresztanci.

Teraz obaj strażnicy dopadli olbrzyma i z obu stron ujęli go za ramiona, zapierając się nogami o ziemię, aby go zatrzymać. Ale Basztoń, jakby ich nie czuł, szedł prędkim krokiem naprzód, wlokąc strażników za sobą.

Ta straszna siła więźnia napełniła ich strachem. Jeden ze strażników zwrócił się do biegnących za nimi w nieładzie więźniów i rzekł zadyszany:

— Pomóżcie tego biedaka zatrzymać i odprowadzić do zakładu. We dwóch nie damy mu rady, ale wszyscy chyba go zawrócimy.

Aresztanci krótko porozumieli się ze sobą, a potem pędem puścili się za Basztoniem. Ośmiu z nich, co najśmielszych, wyprzedziło go o parę kroków, a potem zbitą grupą zastąpili mu drożynę.

Olbrzym szedł ze spuszczoną ku ziemi głową, bo gdyby w tej chwili zobaczyli jego twarz, bladą jak upiór i okropnie wykrzywioną, byliby się przed nim z przerażeniem roztąpili.

Stanęli tak przed nim z wyciągniętymi rękami, aby go pochwycić i zatrzymać.

A on, jak gdyby wszedł w giętkie krzaki bzu, roztrącił ich kolanami, paru powalił na ziemię i szedł dalej, a raczej zirytowany tą żywą zaporą, począł biedz wyciągniętym miarowym kłusem.

Aresztanci, ochłonąwszy z pierwszego przestrachu, rzucili się za nim. Dogonili go z łatwością, nikt jednak nie miał odwagi zbliżyć się do niego, a tem mniej zatrzymać. Olbrzym dyszał tymczasem jak lokotywa i sam do siebie głośno coś mówił.

niosłość, tak częsta u ludzi władzy, jest mu zupełnie obcą. Przeciwnie. Każdy jest w jego oczach obywatelem i każdy ma prawo przyjść i uskarżyć się swemu prezydentowi, co i gdzie go boli.

Audyencyi udziela p. Michalski od godziny 1/28 rano. Poczekalnia, granicząca z jego kancelaryą, przedstawia wtedy ciekawy widok. Obok wysokich dygnitarzy, którzy przychodzą w sprawie co najmniej półurzędowej, widać tam i biedaków, pokładających ostatnią nadzieję i ratunek w złotem sercu swego prezydenta.

Sprawy, w jakich się do niego zwracają, są najrozmaitsze. Przeważną ich część stanowią prośby o różne łaski, protekcye lub zapomogi. Duży procent petentów stanowią panie. Są to przeważnie nauczycielki, przychodzące upominać się o swój awans, o sprawiedliwość dla siebie. Bo pod tym względem coś w magistracie „nieklapuje“. Protekcye zdają się tu odgrywać decydujące role. A nasz prezydent ma miękkie serce i nieraz zgodzi się na coś, co jest wbrew jego lepszemu przekonaniu. Ale czyni to z „koniecznych względów“ i przez politykę, która domaga się swoich ofiar i między tymi, co nic niezawinili i do niej się wcale nie mięszają.

Inni przychodzą prosić o najrozmaitsze rzeczy. Kamienicznik, któremu się bruk przed domem popsuł, petent o koncesyę na szynk, aspirant do miejskich dostaw, proszący o podarowanie kary magistrackiej, o przyspieszenie jakiejś pilnej dla niego sprawy — wszystko to ciśnie się od rychłego rana w poczekalni prezydenta, każdy z nadzieją i ufnością w sercu, że znajdzie dobre słowo, znajdzie pociechę i pomoc u prezydenta, który każdego grzecznie przyjmuje, cierpliwie słucha, zapisuje sobie kwestyę na papierze, i jak może, każdemu na rękę idzie.

Ostatnimi są zazwyczaj ci, którzy proszą o jakieś zajęcie lub zapomogę. Pracę przydziela prezydent w miarę możności, a potem, wybrawszy tych, co na doraźną pomoc zasługują prowadzi ich osobiście na III. piętro do piątego departamentu (miejska dobroczynność), polecając ich kierownikowi tegoż, radcy Bańkowskiemu. Rzecz naturalna, że protegowani prezydenta otrzymują natychmiast jakieś wsparcie. Wielu stara się wykorzystać i nadużyć dobre serce prezydenta, ale ten zna swoich ludzi i wie, gdzie należy pomódz, a kiedy proszącego z grzecznym kwitkiem odprawić.

Rycina nasza przedstawia chwilę, gdy prezydent, załatwiwszy się z jednym gościem, staje w drzwiach, aby wyszukać następnego, który ma najpilniejszą sprawę, a najmniej czasu, i dlatego, rychło odprawić go trzeba. Obok stoi woźny prezydyalny, nieśmiertelny Muzyka, z olbrzymim jak u suma wąsami. Muzyka ma zawsze zły humor, gdy zbyt wielu petentów się ciśnie, bo twierdzi, że prezydent ma dość innej pracy i nie należy mu czasu zabierać „niemagistrackimi rzeczami.“

Łapserdak.

Szedł raźnie polną drożyną, od wioski. Ciągle się oglądał za siebie i przyspieszał kroku. Słuszny, suchy, z długą, siwiejącą rudą brodą, z zapadniętemi policzkami, około których misternie się wiły cienkie loki włosów, w kapeluszu połamanym, w bekieszy, podwiązanej grubą krajką, z kosturem w prawej ręce i dwoma skórkami zajęczemi pod lewą pachą — wyglądał jak straszydło na wróble.

W dali na widnokręgu czerniał las. Widocznie pilno mu było dostać się tam, bo wciąż przyspieszał kroku i niespokojnie nadsłuchiwał.

Wtem zasłyszał tętent. Stanął — przyłożył rękę do oczu, spojrzał i zatrząsł się. Od wioski pędzili ku niemu dwaj kozacy.

Sięgnął w zanadrze, pomacał, poprawił coś i mocniej zacisnął na sobie bekieszę. Potem spuścił głowę na piersi, pomyślał chwilę, rzucił okiem na prawo i lewo, pokiwał głową przecząco, zgarbił się we dwoje i zwolna ruszył naprzód wlokąc nogę za nogą.

Wnet go jeźdcy dopadli. Na ich widok prawie przysiadł do ziemi.

Stój! krzyknęli.

Nie trzeba było rozkazu dwa razy powtarzać; skórki wyleciały mu z pod pachy, kostur stuknął o ziemię.

— Skąd idziesz żydzie? — zahuczało mu w uszach.

— Ja idę z drogi, z drogi panowie kozaki — wybełkotał.

— Dokąd? — nacierali dalej.

— Ny — panowie widzą przecie — ja idę w drogi...

— Do lasu — do lachiw — do buntownikow! — krzyknęli i świsnęli nahajkami.

— Czego ja mam chodzić do lasu, prosił się żyd — ja tam swoje skórki nie sprzedam — ja potrzebuję iść do miasta.

— Tyś szpieg! huknął mu nad uchem ten po prawej ręce i natarł nań tak koniem, że aż olstrą uderzył go w piersi.

Rzucił się przestraszony na bok i dzwoniąc zębami ze strachu, a wskazując na olstrę, zapytał:

— Panie kozak — co to jest?

Zapytany parsknął śmiechem, a rozbawiony przestrachem i komiczną miną żyda, wyjął pistolet z olstry i odwiódł kurek.

— Aj waj!—wrzasnął żyd, siadając na ziemię.

Teraz obaj kozacy zaczęli się ryhotać. I drugi wyjął pistolet z olstry. Zaczęli mierzyć w żyda i bawić się jego kosztem.

Ten wił się jak w konwulsyach, a ich to coraz więcej cieszyło.

— Wstawaj żydzie! — krzyknął nagle jeden.

Posłuchał.

— Zbliż się!

Obaj dozorcy biegli porówno z nim, oszołomieni, zdesperowani, nie wiedząc co począć i jak go wstrzymać. Aż jeden z nich wybiegł kilkanaście kroków naprzód, stanął na dróżce i zrywając karabin z ramienia, zmierzył się do olbrzyma.

— Stój! bo strzelę!

Olbrzym jakby nie słyszał tego wezwania, wpadł na strażnika, wyrwał mu — przebiegając koło niego — karabin z ręki, a trzymając go za lufę, zawinął go dokoła siebie i wyrzucił na wysokość kilkunastu metrów w powietrze.

Uczynił to zaś nie zatrzymując się ani na chwilę, nie zwalniając nawet biegu. Karabin, przewracając kozły w powietrzu spadł na rosnącą w pobliżu wierzbę i z hukiem wypalił. Widząc tę scenę drugi strażnik, który pozostał w tyle, zatrzymał się i ze swojego karabinu zmierzył w plecy biegnącego przed nim olbrzyma.

Ale nim miał czas wystrzelić, dokoła niego rozległy się głośne okrzyki:

— Nie strzelać! Nie wolno strzelać!

Ttrażnik skonsternowany opuścił broń. Do koła niego stanęli aresztanci z groźnemi minami, gotowi rzucić się na niego na wypadek strzału.

— Kto widział strzelać do waryata?

— Albo on wie, co on robi? Ucieka bo mu się rozum pomieszał.

Sakie uwagi padały z pośród nich. — Uznał ich trafność dozorca, bo znów zarzucił karabin na ramię i zbliżył się do więźni.

— Jednak złapać go trzeba — rzekł drżącym i zmięszanym głosem. On daleko nie zaleci, bo się zdyszy i zmęczy. Kto z was chce na ochotnika gonić go ze mną?

-- Kilku młodszych aresztantów okazało gotowość do tego. Złożono na prędce naradę i pięciu z nich ze strażnikiem puściło się w dalszą pogoń za olbrzymem, a reszta pod dozorem drugiego strażnika wróciła do zakładu.

Za śladem handlarza.

Do biura inspekcyi policyi w Krakowie zapukał nieśmiało Kostek. Ubrany był po podróżnemu i miał przez ramię przewieszoną torebkę. Wszedłszy do kancelaryi ukłonił się urzędnikowi i podał mu list.

— Jak się masz chłopcze? A gdzież pan Cezary?

— Jest obecnie w Bochni, ale jutro przyjedzie do Krakowa — odparł Kostek.

Urzędnik przeczytał list i zafrasował się.

— Dziś już za późno aby wyszukać to, co pan Cezarny prosi — rzekł urzędnik. Chyba jutro przed południem jeszcze raz tu przyjdziesz.

— Jutro też czas — rzekł chłopiec i pożegnawszy się wyszedł.

Na drugi dzień przyjechał pan Cezary, chlebodawca Kostka, ale jakiś markotny i zgryziony.

— Byłeś na policyi? — spytał chłopca przy wysiadaniu z wagonu.

— Byłem, ale dziś dopiero dostanę spis i adresy tych osób, bo wczoraj było zapóźno.

— Idźże tam zaraz, jak tylko będzie czas.

— Pójdę, proszę pana, ale ja nie wierzę, aby się nam to udało. On chyba za wiele wyżył strachu i rad będzie, gdy się znajdzie za granicą. Śmiałżeby tu do Krakowa wracać i dziewczęta werbować, skoro wie, że go na wszystkie strony szukają?

— Ty tego nierozumiesz, mój Kostku. Jak psa nie oduczysz od węszenia, ani kota nie odzwyczaisz od łapania myszy, tak samo i taki handlarz dusz nie pominie żadnej sposobności, aby nawet i w ucieczce przed policyą nie zabrać tego ich towaru ze sobą. Chyba, że puścił się inną drogą, nie na Kraków.

— Albo wiezie swój towar pod fałszywym paszportem!

— Ale i taki paszport musi być wystawiony na nazwisko istniejącej osoby, a to już prowadzi na ślad handlarza.

— Pójdę ja już na policyę — rzekł Kostek i chwyciwszy kapelusz, wybiegł na ulicę.

Wrócił niebawem i przyniósł spis tych młodych kobiet, dla których w ostatnich pięciu dniach wydano paszporta zagraniczne. Do spisu dołączone były i adresa odnośnych osób,

Adresów tych było ogółem 17. Natychmiast po rozpatrzeniu się w nich Cezary i Kostek, podzieliwszy się adresami, wyszli na miasto, aby każdy na własną rękę prowadzić dochodzenia, która kobieta, wśród jakich okoliczności i dlaczego paszport wzięła.

O godzinie trzeciej popołudniu, stosownie do umowy, mieli się zejść w kawiarni europejskiej przy plantach. Cezary stawił się punktualnie, tylko Kostek nawet o 4 jeszcze nie wrócił. To zdawało się być pomyślną zapowiedzią co do prowadzonych przez Kostka badań.

Nareszcie o pół do 5-tej zatrzymała się przed werandą dorożka, a z niej wyskoczył Kostek czerwony i zaaferowany.

— Panie — krzyknął stłumionym głosem. — coś jest, tylko trzeba bliżej tego dochodzić. Siadaj pan zemną, pojedziemy w jedno miejsce.

Dorożka potoczyła się szybko na ulicę Wielopole i zatrzymała się przed wielką, jednopiątrową kamienicą tuż przed mostem kolejowym.

(C. d. n.)

Nie trzeba było powtarzać. Żyd zerwał się.

— Masz — a trzymaj dobrze — i podał mu pistolet.

Powstał nowy, ogromny śmiech.

Wreszcie przynaglili go siłą, że ujął w prawą rękę broń.

Wyglądał tak przerażony, że kładli się ze śmiechu w kulbakach.

Dla lepszego jeszcze efektu, włożono mu drugi pistolet w lewą rękę.

Żyd ścisnął dłoń, lecz w tej samej chwili wyprostował się, zmierzył i celnymi dwoma strzałami powalił kozaków na ziemię.

Śmiech przeszedł w śmiertelne rzężenie.

Poskoczył, przeszukał kieszenie, potem siadł na konia, drugiego chwycił za uzdę i galopem pognał w stronę lasu.

. . . .

W pół godziny później był już w obozie pod Kobylanką, gdzie złożył raport generałowi Jeziorańskiemu, oddając mu bardzo ważne papiery.

Jeziorański wysłuchał go, a przeczytawszy papiery, serdecznie uścisnął dłoń żyda.

. . . .

Powtórzyłem tutaj wiernie opowiadanie mego wuja, a powtórzyłem dlatego dzisiaj, w 44 rocznicę powstania styczniowego, by przypomnąć, że nie były wówczas legendą słowa Mickiewicza:

Żyd poczciwy Ojczyznę jako Polak kochał!

A nawet imię tego bohatera nie przeszło do potomności. Wuj mi mówił, że nazywali go: Łapserdakiem.

Stanisław Tokarski.

Co dzień niesie?

Przyniósł nam proces — złodziejsko-polityczny. Paru młodych ludzi okradło podstępnie Bank krajowy na 20.000 koron. Po długich awanturach, po dniach zwątpienia i rezygnacyi, przypadek dopomógł policyi do złapania fałszerzy. Banda dostała się pod klucz. Chodzi teraz o wykręcenie się z kryminału. Najlepiej więc dać zwykłemu złodziejstwu podkład — polityczny. To wypróbowany u nas środek. Na cel patryotyczny! To łagodzi i rozbraja. I tej metody chwycili się weseli kumpanowie. Zaraz po ich aresztowaniu poszła wieść na miasto, że okradli bank, aby zorganizować powstanie. W ten sposób urabia się przychylnie opinię publiczną dla „młodych zapaleńców i bohaterów.“

U nas ta „polityka“ jest tarczą do najniemożliwszych rzeczy i celów. Każdy lepszego gatunku rabuś i złodziej, wyszedłszy z kryminału, opowiada, że siedział za „politykę“.

U nas, jak wszędzie, kara za występstwa polityczne nie jest hańbiącą, często nawet bywa zaszczytną. To też najrozmaitsi błędni rycerze, gdy im się noga pośliznęła i ze siodła spadli, zasłaniali się natychmiast polityką. Tak było w wielu wypadkach i my tych „ofiar politycznych“ mamy tyle u siebie, że — po nich sądząc — jesteśmy chyba najpatryotyczniejszym narodem na świecie.

Czas wielki, aby opinia poczęła odróżniać zwykłe złodziejstwa i szelmostwa od czynów, których motywem jest szlachetna miłość Ojczyzny. Ta nieposługuje się środkami, które same przez się są jej negacyą.

Goniec Polski — Wiek Nowy.

W piątek 18. stycznia radca Dworu p. Adam Krechowiecki zrezygnował z godności prezesa Towarzystwa dziennikarzy polskich.

Jeszcze tego samego dnia Wydział zwołał posiedzenie wieczorne, na którem uchwalono, zwrócić się z prośbą do pana Krechowieckiego, aby rezygnacyę swoją cofnął.

W myśl tego Wydział wystósował do niego następujące pismo:

„Jaśnie Wielmożny Panie Prezesie! Wydział Tow. dziennikarzy polskich otrzymawszy na posiedzeniu dzisiejszem wiadomość, że JWPan zgłosił swą rezygnacyę ze stanowiska prezesa Tow., uchwalił jednomyślnie rezygnacyi tej nie przyjąć. W motywach tej uchwały nie wychodziliśmy tylko z założenia, że dla dobra naszego Towarzystwa nieodzownem jest, ażeby JWPan nie odmawiał i nadal swego cennego współdziałania, ale przedewszystkiem kierowało naszą uchwałą przekonanie, że p o w o d y, k t ó r e s k ł o n i ł y G o d o t e g o k r o k u, a c z k o l w i e k b y ł y t e g o r o d z a j u, ż e m o g ł y b y ł y w z b u d z i ć s ł u s z n e r o z g o r y c z e n i e, to jednak sądzimy, że poczucie ważnego obowiązku, spełnianego przez Czcigodnego Prezesa, każe mu zapomnieć o postronnych przykrościach, jakie Go spotkały.

Mamy nadzieję, że nasza serdeczna prośba odniesie skutek, a nadzieję tę opieramy na trzydziestoletniej literackiej i obywatelskiej działalności Czcigodnego Prezesa, owianej zawsze gorącą miłością Ojczyzny i przejęte z dbałością o dobro ogółu, dla której, jak i Jego osoby żywimy głęboką cześć i poważanie. We Lwowie, dnia 18. stycznia 1907. Za Wydział Tow. dziennikarzy polskich: *Franciszek Rawita Gawroński* wiceprezes, *Edmund Kolbuszowski* za sekretarza,

W liście tym ogólną uwagę zwraca fakt, że „za sekretarza“ podpisanym jest p. Edmund Kolbuszowski, jakkolwiek sekretarzem Towarzystwa jest czy też był p. Laskownicki, redaktor *Wieku Nowego.*

Cygara Edisona.

Publiczność drugiej półkuli bardzo zajmuje się codziennem życiem słynnego wynalazcy. Najdrobniejszy szczegół nie ujdzie uwagi ciekawych Yankesów. Prasa amerykańska najskrupulatniej notuje każdy ruch geniusza-wynalazcy. Nie brak czasem i zmyślonych plotek. Następującą historyjkę podają obecnie gazety amerykańskie:

Edison jest namiętnym palaczem i zawsze cygaro ma w ustach. Nie zwraca uwagi na smak „najprzedniejszego hawana“, byle cygaro było suche i można z niego wyciągnąć gęste kłęby dymu. Zawsze Edison wygląda jak dymiący parowóz... Ma też specyalnego handlarza, który mu dostarcza cygara w paczkach.

Pewnego razu Edison spostrzegł, że w jednym tygodniu ubyło 1200 cygar. Sądził, że tyle cygar wypalili mu interesanci. Jako genialny wynalazca wpadł mu dobry pomysł i napisał do swego dostawcy, aby mu sporządził sześć paczek po 100 cygar, które mają być nadziane śmieciem, papierem i włosami. Chciwy interesant na drugi raz z pewnością nie sięgnie po cygaro do kasety.

Po upływie pewnego czasu przybył handlarz po nowe zamówienie. Przy tej sposobności zapytał, jaki był popyt na owe „specyalne“ cygara ze śmieciem. Edison dopiero wtenczas spostrzegł się, że dla interesantów wypełnił kasetę dobremi cygarami, a sam palił „specyalne“ ze śmieciem. Po takiem odkryciu wybuchł śmiechem i przyszedł do przekonania, że posiada smak bardzo stępiony.

Pan Lwa i Słońca.

(Do ryciny).

Muzzafer Edin, zmarły niedawno szach perski, był we Lwowie popularną osobistością. Bawił u nas przez 3 dni, mieszkał w hotelu George'a, jadł polski barszcz i kwaśne ogórki, jeździł na Wysoki Zamek i do panoramy Kościuszki, rozdał parę orderów Lwa i Słońca, i odjechał zrobiwszy poprzednio porządną borbę z powodu hotelowego rachunku, który mu się wydał za drogi.

Taki to popularny i ludzki władca umarł niedawno, nadawszy pierwej krajowi swemu konstytucyę. Nieuczynił tego, co prawda, z własnej woli. W państwie wybuchła rewolucya, i aby ją zażegnać, stworzył szach parlament, ale też utrata władzy autokratycznej wpędziła go do grobu. Umarł zostawiając 1720 żon.

Gdy czuł zbliżającą się śmierć, kazał się fotografować wraz z tymi, którzy po nim tron odziedziczą lub najprędzej odziedziczyć mogą. Podajemy reprodukcyę tej fotografii. Szach wsparty jest na ramieniu swego brata. Ten obejmuje po nim władzę. Trzecim jest bratanek szacha, a ostatnim jego synek. Według obowiązujących w Persyi praw dynastycznych ci dwaj ostatni są domniemanymi w przyszłości władcami Persyi.

Koronacya nowego Szacha odbyła się wczoraj. Egzotyczny tron, na jakim zasiada pan Lwa i Słońca, przyrzekliśmy przed paru dniami dopiero.

Obrażeni murarze. Krakowscy halabardnicy.

Nasz korespondent krakowski *(R)* pisze:

W tutejszym socyalistycznem *Naprzodzie* pojawił się anonimowy artykuł „Grona niezawisłych urzędników Floryanki“ w sprawie listu otwartego, niejakiego p. Majewskiego, w którym tenże czyni krak. Towarzystwu ubezpieczeń ciężkie zarzuty. Wspomniane „grono urzędników“ solidaryzuje się z treścią listu p. Majewskiego — i ogłasza to w *Naprzodzie.* Lecz w tym artykule znajduje się następujący ustęp: „... zmuszeni jesteśmy (my, urzędnicy z wyższem wykształceniem) kłaniać się i słuchać ludzi, mających studya majstra murarskiego, a noszących głowy do góry, choć straszna z nich g ł u p o t a w y z i e r a“.

Te ostatnie słowa, pozostające w związku z poziomem wykształcenia m a j s t r ó w m u r a r s k i c h, spowodowały tutejszych pp. majstrów do zwołania w swem stowarzyszeniu zgromadzenia, a to celem narady nad tą o b r a z ą honoru s t a n o w e g o.

O wyniku wczorajszych narad majstrów murarskich — co z tą „obrazą“ postanowili zrobić — nie omieszkamy donieść.

*

Sławni „halabardnicy“ krakowscy, czyli stróże nocni, przestali istnieć. Instytucya ich utworzoną została przed dwoma przeszło wiekami, i, dodać należy — stanowiła — obok wytrąbianego co godzina hejnału na wieży kościoła Maryackiego — jedną z charakterystyk starożytnego, polskiego Krakowa. Obecnie tę prastarą instytucyę „stróżów nocnych“ zniesiono, a natomiast wzmocniono straż policyjną.

Jednakże halabardnicy postanowili odwołać się do opinii publicznej i w ten sposób ocalić swe istnienie.

Fałszerze czeku na 20.000 kor.

(Z izby sądowej).

Rok mija, jak Lwów cały zatrząsł się od senzacyi: w Banku krajowym podniesiono na sfałszowany czek 20.000 koron. W innych wielkich miastach „kawał“ taki przestał już dawno działać. U nas jest jeszcze wypadkiem nie dnia i nie miesiąca, ale roku całego.

Przebieg tej sprawy przed rokiem był następujący:

Przy kasie.

Dnia 8. stycznia 1906 roku, między godziną 11 a 12 w południe, a więc w czasie, w którym w kasie Banku krajowego panuje największy ruch, zjawił się tam pewien młody człowiek, bardzo skromnie, niemal ubogo ubrany i zwróciwszy się do kasyera, p. Antoniego Nartowskiego, wręczył mu przekazkę, opiewającą na 20.000 koron. Przekazka ta wypełnioną była na druku, jakiego Bank krajowy używa, opatrzoną zaś numerem porządkowym „156“, liczbą protokołu podawczego: „f. 1982“, stampilją: „Korespondencya Banku krajowego“, a wreszcie podpisami: pp. Józefa Padewskiego, wicedyrektora banku i Kazimierza Wojcickiego, adjunkta, przydzielonego do działu korespondencyj. Przekazka polecała kasie wypłatę 20.000 koron, na rachunek filji krakowskiej.

Kasyer, nie zauważywszy nic podejrzanego i sądząc, iż oddawca przekazki jest tylko wysłannikiem jakiejś inoej osoby, zapytał go tylko: „A list (upoważnienie do podjęcia pieniędzy) gdzie? Został w korespondencyi?“ Otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, kazał mu p. Nartowski podpisać się na odwrotnej stronie przekazki, nieznajomy podpisał się jako H. Schlein, a na dalsze pytanie urzędnika: „Pan tutejszy? Gdzie pan mieszka?“, odpowiedział: „Na Zniesieniu“.

Wówczas p. Nartowski wypłacił mu owe 20.000 koron, a młody człowiek, przeliczywszy je na żądanie kasyera, odszedł.

Odkrycie oszustwa.

Niedługo potem zjawił się w kasie wicedyrektor p. Padewski, któremu p. Nartowski, powiedziawszy o wypłacie, zwrócił uwagę, iż należałoby zwracać większą baczność i zachowywać większą ostrożność przy wypłatach, przekazywanych przez dział korespondencyi. Wówczas p. Padewski, obejrzawszy przekazkę, zauważył, że pismo jego jest podrobione. Udał się więc do oddziału korespondencyi, gdzie okazało się, iż cała przekazka była podrobioną, a więc Bank padł ofiarą niezwykle wyrafinowanego oszustwa.

Wdrożono natychmiast dochodzenia, lecz pomimo nagrody, wyznaczonej przez Bank, przez długi czas nie natrafiono na ślad istotnych sprawców. To było tylko pewne, że oszustwo popełnione zostało przy współudziale osób, obznajomionych dobrze z manipulacyą w Banku. Stwierdzono nawet, iż ktoś z zrealizowanych już przekazek wyciągnął kilka sztuk, celem zużytkowania ich jako wzór.

Poszukiwania za fałszerzami.

Bank krajowy nie ukrywał przykrego faktu, jak to się u nas praktykuje, lecz z całą bezwzględną otwartością ogłosił, w jaki sposób fałszerstwo zostało dokonane. Śledztwem zajął się radca policyi Kreiner i najzdolniejsi ajenci. Zdawało się, że sprawcy zostaną łatwo i szybko odkryci. Przecież do biur banku i do przekazek nie każdy miał przystęp, i dochodzenia mogły być skierowane tylko przeciw pewnej grupie osób.

Miasto całe z zapartym oddechem czekało na — wykrycie sprawców. Tymczasem mijał dzień za dniem, a policya nie tylko nie trafiła na właściwy ślad, ale coraz bardziej się od niego oddalała. W dodatku bałamuciły ją setki anonimowych doniesień. W banku krajowym, jak w każdej podobnej instytucyi, panują między urzędnikami, a nawet między służbą, liczne antagonizmy. Domysły i podejrzenia budziły się więc najrozmaitsze, a ich wyrazem były niezliczone anonimy rzucające podejrzenie to w tę, to w inną stronę.

Powoli poczęła policya w tym chaosie tracić głowę. Badano każdy anonim, śledzono w danym kierunku, ale bez rezultatu. Zamiast zbliżać się do sprawców, oddalano się od nich.

Parę razy rozbiegła się wieść, że sprawca już aresztowany. Ale to były przedwczesne rachuby. Zdarzyło się to mianowicie, gdy jeden z urzędników banku, żyjący w skromnych dotąd stosunkach, oświadczył chęć kupienia sobie domku za miastem. Okazało się jednak, że niechciał tego uczynić za skradzione swej chlebodawczej instytucyi pieniądze.

Niespodziewane doniesienie.

Już zdawało się, że sprawcy nigdy nie zostaną odkryci, gdy z początkiem października z r. zgłosił się do dyrektora Banku, radcy dra Zgórskiego, szeregowiec 30 pp. Aleksander Władyka.

Dyr. Zgórski, zajęty pilną pracą, chciał go zamówić na późniejszą godzinę. Gdy jednak Władyka oświadczył, że ma bardzo pilną i ważną sprawę, dyr. Zgórski przyjął go. Władyka powiedział mu wtedy, że zna sprawców oszustwa w Banku, a na podstawie jego zeznań policya aresztowała sześciu młodych ludzi, o czyn ten podejrzanych. Byli to:

1. Leon Fuk, bez zajęcia,
2. Kazimierz Wójcicki, bez zajęcia,
3) Eustachy Borowicki, pomocnik biurowy banku,
4) Michał Rutkowski, miejski strażnik akcyzowy i
5) Henryk Meisner, bez zajęcia.

Niebawem co do Fuka upadły ciążący na nim podejrzenia i policya go wypuściła. Natomiast prokuratorya co do reszty oskarżonych sformułowała akt oskarzenia w ten sposób, że:

Borowicki i Rutkowski za namową **Wójcickiego** podrobili przekaskę, a **Meisner** ją przy kasie zrealizował.

Oni też zasiedli dziś na ławie oskarżonych.

W sali sądowej.

Po odczytaniu aktu oskarzenia przystąpił przewodniczący rozprawy do przesłuchania oskarzonych. Pierwszym jest Henryk Meisner, 18. letni młodzieniec, syn handlarza naftą, średniego wzrostu, gładko uczesany o charakterystycznej twarzy prowincyonalnego aktora. Mówi wyraźnie, pewny siebie, dla silniejszego nacisku na niektóre zdania posługuje się rękami, od czasu do czasu gestykuluje ręką i potakuje głową. Do winy nie poczuwa się. Brał udział w różnych stowarzyszeniach młodzieży i należał do czytelni „Młodzież polska“ — jednakowoż nic nie wie o funduszach, jakiemi rozporządzał zarząd czytelni.

W toku rozprawy przewodniczący radca Promiński pokazuje list pisany w więzieniu przez Meisnera do Rutkowskiego, w którym Meisner ostrzega Rutkowskiego, aby „dzielnie trzymał się podczas rozprawy, a będą uwolnieni“. Oskarżony wyjaśnia, że w tych słowach miał na myśli to, aby Rutkowski w czasie rozprawy nie zastraszył się widokiem sędziów i żeby zeznania jego ujemnie nie wpłynęły na ich uwolnienie. Między innemi pisze Meisner w liście tak:

„Przy śledztwie powiedział mi sędzia: „Panie Meisner, jesteś pan albo bardzo przebiegłym człowiekiem, albo zupełnie niewinnym“. Ja sędziemu odpowiedziałem: Jedno z dwojga, jak pan sędzia uważa“.

Drugi oskarżony Eustachy Borowicki, lat 20, był pomocnikiem biurowym w Banku krajowym. Szczupły i blady, o ja-

Rycina do artykułu „Pan Lwa i Słońca“.



snych włosach, przed przesłuchaniem rozgląda się po sali i kłania się znajomym „towarzyszom broni“, którzy z zapartym oddechem przysłuchiwali się rozprawie na sali. Odpowiada cichym głosem, wyprostowany jak struna, chwilami słowa oskarżonego przechodzą w szept.

Do winy nie przyznaje się. Podczas przesłuchania pokazuje przewodniczący Borowickiemu ową sfałszowaną asygnatę, ale oskarżony nic o niej nie wiedział i do dziś dnia nie wie, gdzie asygnaty w biurze były w przechowaniu. Do czytelni należał, o funduszach nic mu nie wiadomo. Radca Promiński wyciąga z aktów kilka widokówek, pisanych przez oskarżonego do kolegów, w których Borowicki pisze niewyraźnie: „że nie może teraz nic poradzić, gdyż Kazimierz Wójcicki leży ciężko chory w szpitalu i ma przebyć operacyę.“ Borowicki tłumaczy, że w kartkach tych rozchodzi się o załatwienie różnych bieżących spraw czytelnianych.

Obrońca dr. Dwernicki wypytuje oskarżonego o bliższe stosunki majątkowe, jakie prowadzi życie, i dowiaduje się, że oskarżony ani nie pali i nie pije.

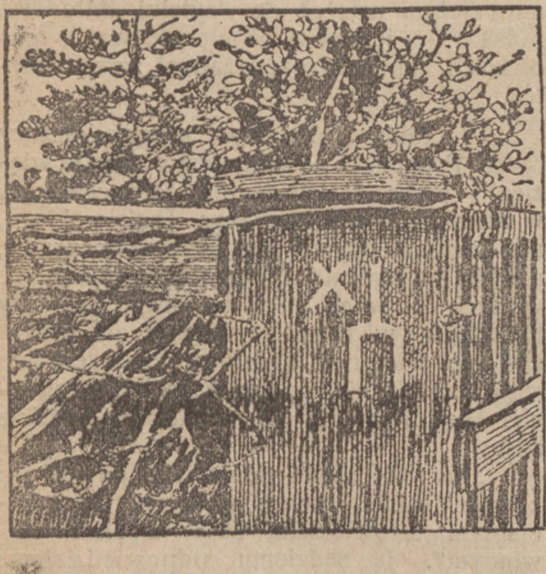
Trzeci oskarzony, 18-letni Michał Rutkowski, strażnik akcyzowy, wchodzi na salę śmiałym i pewnym krokiem. W mundurku strażnika, zwraca uwagę niektórych kobiet, znajdujących się na sali, bo jest „przystojnym chłopakiem“. Mówi głośno i wyraźnie. Do winy także nie poczuwa się.

Z chwilą, gdy zamykamy numer, przesłuchanie Rutkowskiego trwa dalej.

Tajne znaki włóczęgów.

Włóczędzy, obiegający kraj cały, a nieraz i kawał świata, mają swoją mowę, a raczej wspólne znaki kabalistyczne, zapomocą których porozumiewają się ze sobą. A że jedynym celem życia tych ludzi jest, wyżebrać jak najwięcej, więc i cała mowa ich do tego jednego przedmiotu się ogranicza.

Prowadzą oni między sobą korespondencyę, a raczej znaki ostrzegawcze, które piszą na drzwiach, na murze i na płotach domu, a które kolegom mają dawać do zrozumienia, czego się od mieszkańców tego domu można spodziewać, czy więc warto tu zapukać i tracić czas na czekaniu pod drzwiami, lub nie.

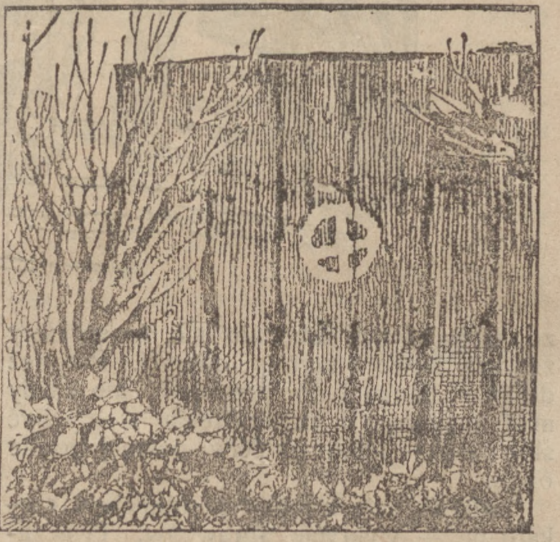


Znak, jaki widzimy na powyższej rycinie, oznacza „tu dają tylko pracę“. A tej włóczęga nie lubi i oburza się nawet, gdy mu zamiast datku, zajęcie proponują.

Drugi znak, koło przebite dwoma strzałkami, oznacza „uciekaj stąd!“. Jest to więc siedziba urzędnika policyjnego, albo ludzi, którzy z włóczęgami źle się obchodzą, i pukających do drzwi bija albo szczują psami.



Kółko z dwoma przecznicami znaczy „tu nie dają pieniędzy, tylko jedzenie“. Kto



zatem jest już syty, ten wie, że niema po co pukać do drzwi w ten sposób znaczonych.

KRONIKA.

Kalendarzyk: Dziś rzym.-kat. Wincentego, gr.-kat. Połyjewkta.

Repertuar teatru miejskiego. Dzisiaj na dochód Tow. uczestników powstania 1863 r. staraniem Komitetu „Program składany“, między innymi po raz pierwszy „Za ojczyznę“, obraz sceniczny w 1 akcie przez Fr. Rawitę Gawrońskiego.

We wtorek, po raz pierwszy. „Pan Tadeusz“, opera w 4 aktach; libretto z poematu Mickiewicza, ułożył J. T. Wydżga, przy współudziale Marji Wydżdżanki, muzyka J. T. Wydżgi. Gościnny występ Ireny Bohuss.

We wtorek po raz pierwszy „Pau Tadeusz“ opera w 4 aktach, napisał I. T. Wydżga. Gościnny występ Ireny Bohuss.

Colosseum Hermanów. (Pasaż Hermanów, ulica Słoneczna) o godzinie 8. wieczorem, przedstawienie (serja od 16. do 31. b. m.)

Namiestnik hr. Andrzej Potocki wyjecha wczoraj popołudniu w sprawach urzędowych do Wiednia; wobec tego w środę dnia 23. b. m. nie będzie udzielał audjencyj.

Sprzeniewierzenie. Stanisław Strzałkowski, właściciel składu węgla oskarżył Klemensa Seniowa o sprzeniewierzenie kwoty 136 koron 70 hal., pobranej za węgiel. Aresztowany Seniów przyznał się do winy, i tłumaczył, że sprzeniewierzone pieniądze obrócił na leki, był bowiem przez dłuższy czas chory, i przyrzekł, że do trzech dni zwróci p. Strzałkowskiemu zabrane pieniądze. Zobowiązanie Seniowa uznał komisarz dyżurny za niedostateczne, gdyż kazał go zamknąć. W ten sposób wyrównanie finansowe firmy Seniowa z trudnością przyjdzie do skutku.

Mała złodziejka. W westybulu Kasy oszczędności przyłapano niespełna 14-letnią dziewczynkę na kradzieży kieszonkowej. Aresztowano ją i sprowadzono na policyę. Tu najpierw wyparła się wszystkiego, a następnie przyznała się do kradzieży, powiedziała, że jest uczenicą V. klasy szkoły Sobieskiego, że się nazywa Czabajówna i mieszka Na Bajkach 16. W dalszym ciągu twierdziła, że pieniądze kradła za namową pewnego czeladnika stolarskiego, który uczył ją rysunków. Jest on bardzo biedny, więc chciała mu w ten sposób dopomódz. Wysłano ją z ajentem dorożką celem sprawdzenia jej zeznań. W drodze jednak wyskoczyła z dorożki i umknęła do kamienicy przy ulicy Krasickich l. 5, gdzie wpadła do mieszkania jakiegoś państwa i skarżyła się przed nimi na prześladowanie jej przez policyę. W tej chwili wszedł ajent i zabrał ją ze sobą. Dziewczyna wówczas zaprzeczyła, jakoby zwała się Czabajówną i powiedziała, że teraz mówić będzie prawdę. Oświadczyła, że nazywa się Józefa Nakoneczna, ale równocześnie zaprzeczyła, jakoby kradła. Sprowadzono jej rodziców i oddano im córkę. Śledztwo w toku.

Brutalny dorożkarz. Ulicą Zamarstynowską dorożkarz Nr. 175 wiózł trafikanta Gottfrieda Kolmana, kalekę na obydwie nogi. W drodze dorożkarz zażądał zapłaty od Kolmana. Kaleka odparł, że na miejscu zapłaci. Rozgniewany dorożkarz wyrzucił Kolmana ze sanek na śnieg, zdarł mu czapkę z głowy i dalej pojechał.

TELEGRAMY.

Carskie ukazy. *Petersburg.* Ukaz carski zarządza przedłużenie stanu nadzwyczajnej ochrony dla Petersburga i gub. petetersburskiej na dalszych 6 miesięcy od d. 21. bm. począwszy.

Drugi ukaz zarządza przedłużenie stanu wzmocnionej ochrony na rok dla kilku okręgów kraju kozaków Dońskich.

Jako termin wyborów do Dumy w mieście Petersburgu, wyznaczono na podstawie rozporządzenia carskiego dzień 1. marca.

Demonstracye antirządowe. *Sofia* Po zgromadzeniu protestującem przeciw zamknięciu uniwersytetu, stndenci udali się przed uniwersytet, aby tam urządzić demonstracyę. Po drodze, przed pałacem książęcym policya zatrzymała tłum studentów, do których przyłączyli się socyaliści i pospólstwo, tak iż razem było kilka tysięcy osób. Gwizdano i wznoszono okrzyki przeciw księciu, który obecnie bawi w zamku pod Sofią. Zarekwirowano pułk kawaleryi: demonstranci obrzucili go kamieniami. Wreszcie przybył jeszcze pułk gwardyi przybocznej i po długim oporze przy użyciu broni zdołano rozproszyć demonstrantów. Wiele osób zostało zranionych. Poczyniono rozległe zarządzenia wojskowe. Zamknięto ulice w okolicy zamku książęcego i uniwersytetu. Także straż pałacowa wzmocniona.

Z powodu demonstracyi przy otwarciu teatru oddalony został komendant pałacu.

Eksplozya dynamitu. *Sandford* (Stany Zjednoczone, stan. Indiana). Na tutejszej kolei żelaznej nastąpiło zderzenie się dwu pociągów towarowych. W jednym z nich znajdowała się przesyłka dynamitu. 19 osób zginęło, 30 zostało zranionych.

Szwajcarya broni Kościoła. *Neufchatel* (w Szwajcaryj). Przy głosowaniu w Kantonie Neufchatel, zamieszkiwanym przeważnie przez ludność protestancką, wniosek o rozdział kościoła od państwa odrzucono 15.000 głosami przeciw 8.400.

Nadesłane.

Za rubrykę tę Redakcya nie bierze odpowiedzialności.

Drobne ogłoszenia

po 4 halerzy od wyrazu. — Najmniejsze ogłoszenie 40 h.

Kto poszukuje miejsca lub ma wolne miejsce do obsadzenia, kto chce co kupić lub sprzedać, niech to uczyni za pomocą drobnych ogłoszeń w „Gońcu Polskim“, jedno słowo kosztuje 4 h, najmniejsze ogłoszenie 40 halerzy. — Pieniądze można przysyłać w markach pocztowych.

Dr. ROICKI

Najstarszy specyalista dla chorób skórnych i wenerycznych, chorób pęcherzowych i kobiecych, krosty, plamy, piegi, liszaje, szorstkość skóry i czerwoność nosa usuwa się skutecznie. (Jego poradnik (książka) kosztuje 2 K 40 h). Ordynuje od 9—11 rano i od 4—6 po południu, przy ul. Zimorowicza l. 5. 28

Fortepianów i pianin skład obficie zaopatrzony w instrumenta nowe, z pierwszorzędn. firm i w przegrane — na różne ceny, poleca Kubessa, fortepianomistrz, we Lwowie, Rynek 17. 39

Pianino kupię za gotówkę. Hoppen, ul. Stanisława 6. 64

Niemka

młoda, udziela lekcye pod bardzo przystępnymi warunkami. Adres: ul. Boimów l. 4, II. p., drzwi 9. 48

Julius Weiss

konsesyonowany zakład instalacyjny, gazowy i wodociągowy LWÓW, ulica św. Michała l. 4. Specyalista dla urządzeń klozetów, kanalizacyi i kąpieli. 58

Świeże masło wysyła pocztą netto kg. 4·25 za pobraniem K 12, bez zobowiązań Mleczarnia Przeworska Lwów — Polna 25. 61

Pianino elektryczne, całkiem nowe o 50 procent niżej ceny fabrycznej do sprzedania. Wiadomość w Administracyi. 63

Kupię kamienicę w śródmieściu z wolnemi latami lub bez, z wkładem 20.000 koron. Adres w Administracyi. 65

Zdolną nakładaczkę za dobrym wynagrodzeniem poszukuje drukarnia Schläfriga — Sykstuska 24. 66

Potrzebne udzielanie przedmiotów klasy II. gimnaz. Listowne zgłoszenia do Administracyi Gońca Polskiego »dla pilnych«. 68

STARE LUSTRA

(t. zw. ślepe), i szkła z luster kupuje zakład fotograficzny ulica Kopernika 8.

Wózek używany i konia kupię. Zgłoszenia listowne na ręce Karola Doroszyńskiego, Lwów, Podwale 7.



GONIEC POLSKI wychodzi o g. 2. pop. 1 ct. Numer pojedyńczy 1 ct.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA: STANISŁAW BRANDOWSKI. WŁASNOŚĆ SPÓŁKI KOMANDYTOWEJ.
Z DRUKARNI GOŃCA POLSKIEGO, BRANDOWSKI & HEGEDÜS, POD ZARZĄDEM K. DOROSZYŃSKIEGO.